



GDZIE TO GDZIE ZAGRAŁY TRĄBKI MYŚLIWSKIE?..

Organ Towarzystwa Łowieckiego Ziemi Wschodnich

POD REDAKCJĄ MICHAŁA K. PAWLIKOWSKIEGO

KOMITET REDAKCYJNY: BOLESŁAW ŚWIĘTORZECKI, WŁODZIMIERZ KORSAK, MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI, JAN BOROWSKI, LEOPOLD PAC-POMARNACKI

Rozpoczęto na bażanty — skończono na lisy

W odległości 70 — 80 kilometrów od Chabina ku południowi — ku Mukdenowi — w miejscu, gdzie most kolejowy, stale podczas wojny (rosyjsko - japońskiej 1904 — 1905) nocą oświetlany prożektorami, wisiał nad rzeką Sungari, obfitującą w różne ryby, żółwie, wyrzewujące się na brzegu i chowające się w nurty wody wobec najmniejszego ruchu, wyczuwanego w sąsiedztwie, — stała II rota I-go Pontonowego bataljonu, dowodzona przez kapitana A. O. Sylberberga, i budowała mosty dla przejścia cofającej się od Mukdena — po pogromie — armii rosyjskiej, rozbitej wiosną 1905 r. przez Ojama (Nogo).

Sungari płynie wstęgami, dość głębokim korytem, zachowując ogólny kierunek mniej więcej od południa ku północy, gdzie łączy się z Amurem, zachowując naturalne prawidło: — jeden brzeg wyższy, spadzisty, urwisty, natomiast przeciwny — niski. W rejonie tego mostu t. j. pomiędzy mniej więcej stacjami kolejowymi Tajladzou oraz dalej ku południowi Gun dżulinem prawy brzeg Sungari jest rozległy, nizinny, częściowo piaszczysty (diuny), częściowo porośnięty łożą koszykarską.

Po obu stronach mostu kolejowego bataljon budował dwa pontonowe mosty (miał gotowe jesienią 1905 r.), drewniane pływające: długie łodzie jednolite (kotwicami w sewej pozycji utrzymywane i regulowane), długością do prądu wody ustawione, a bokami do siebie, unosiły szeroki pomost, opatrzone w barjery po bokach z prześlicznego cedrowego drzewa, z sąsiedztwa spławionego.

W dniu 8 września, po skończonych deszczach tropikalnych po zejściu wód do koryta rzek — ergo i rzeki Sungari, zarządzane zostało polowanie na bażanty po diunach Sungari przez kapitana Sylberberga. Udział w uroczystości przyjął 6—7 oficerów, uzbrojonych w rewolwery, aparaty fotograficzne (tylko sam kapitan S. posiadał śrutówkę). Dosiedliśmy koni i wyruszyli na teren. Powiadali wartownicy bataljonu, że po tym brzegu Sungari pładują wilki, lisy, są widywane bażanty.

Wolontariusz 20-letni Misza oraz starszy żołnierz Slesarenko — amatorzy łowiectwa — też dosiedli koni i przystąpili do zabawy wspólnej, do ganiań bażantów.

Uchwalono miot pierwszy urządzić w pobliżu loci standi rot, nad nizinnym brzegiem Sungari.

Kierunek pędzenia wypadł ku wschodowi, gdzie z bronią myśliwską stanął gospodarz zabawy.

Niedługo po rozpoczęciu pędzenia zamiast bażanta wyłoniła się z krzewów na północy — wschodnim odcinku miotu opodal od łowcy długa ruda figura, posuwająca się ku północy — na bardziej wzniesione piaszki. Czyjś głos, widać niewprawy, nazwał ją wilkiem, gdyż był to lis.

Chcąc nie stracić z widoku tej rudy figury, która ewentualnie po tamtej stronie wzgórza może się skryć w krzaki, mało nam znane, ruszyłem koniem w kierunku lisa po piaszczystym terenie. Słońce mocno przygrzewało. Pia-

sek sypki, lotny, pod nogami się usuwał. Koń mój — ad hoc użyty do polowania — choć nie odznaczał się chyżością biegu, jednakże szybko przeniósł mnie na ów wzgórek, kędy podążył lis. Widziałem go skrywającego się do pewnej kotliny, przypominającej miskę o podniesionych brzegach, porośniętej drobną łożyną.

Przystanawszy na koniu, na obserwacyjnym wzgórku, skinieniem ręki dałem znak pozostałym na terenie pierwszego miotu braci, aby podążyła ku mnie. W ciągu 1—2 minut oficerowie się stawili i pod moją komendą okolili ową kotlinę celem ewentualnego przetrzymywania lisa w niej, aż się stawi nasz łowiec ze strzelbą do strzelania lisa. Wątpliwości nie miałem, że lis jeszcze korzysta z ukrycia kotliny, a konie — mój i przybywające — mniej go niepokoją.

Ledwo zdążyłem skierować Miszę po nasze go łowca wobec osadzonego lisa, gdy kolega jeden z przeciwnego brzegu kotliny z aparatem fotograficznym wjeżdża do okolonej kotliny celem zfotografowania choć części naszej kawalkady, wtem z ukrycia lis naotro się wysuwa i koło mnie dąży śladami poprzedniemi (kędy przyszedł) w kierunku miotu pierwszego, otwartym terenem mniej więcej tam, gdzie stał gospodarz z bronią. W chwili opuszczenia przez lisa łożyny nie mogłem się wstrzymać od strzału do niego z odległości 12 — 15 kroków z rewolweru Smidta i Wessona, co się stało na oczach wszystkich.

Odniosłem wrażenie, że lis jest podstrzelony... kuleje na jedną przednią kończynę... Czemżeż nie?... człowiek strzela — Pan Bóg kule nosi... Lis kuleje ucieka niezbyt prędko — jak na lisa. Ośmielony widokiem zwierzyny i postrzałem jej, nie mogąc odmówić sobie dalszej pogoni, tembardziej, że lis mknął na stanowisko kapitana, gdzie może nastąpić spotkanie łowcy z lisem.

Długo rozważać nie miał czasu. Odległość pomiędzy mną a lisem mniej więcej 50 — 60 kroków, więc rzucam się konno w pogoń. Po przebyciu 150 — 200 kroków lis chowa się w kotlinie, 3 — 4 razy obszerniejszej, niż przed chwilą opuszczonej; najprawdopodobniej z niej poprzednio w pierwszym miocie był wpędzony. Koledzy oficerowie, owi dwaj żołnierze, którzy też byli zachęceni oglądaniem, zdążyli choćby kity lisie, podążyć za mną. Po ukryciu się lisa w ostatniej większej kotlinie, gęściej porośniętej łożyną, kontynuując samodzielną strategię — łowiecką taktykę — przez obciążenie łańcuchem z jeźdźców od strony zachodniej i południowej kotliny z utajonym lisem; sam zaś zostaję koło północnego jej brzegu. Tu mam teren gładki i otwarty. Zależnie od zaciągniętego półkola przez jeźdźców — lis może być zmuszony opuścić i tę drugą kotlinę według mego życzenia, a mianowicie: wyjść w kierunku północno — wschodnim. Co go tam czeka? Od północy nowe krzaki, łożyny, zaś od wschodu równy — jak lustro —

piaszczysty teren długi 260 m., szeroki 250 m., którego powierzchnia bez załamania się żadnego dalej zlewa się z tonią Sungari, na środku której znajduje się dosyć wysoko usypana z piasku i gęstą łożyną porośnięta delta — wyspa.

Jak się myślało, jak się zarządziło — tak się stało. Okoleniem ostatnich krzewów lis nie długo został zmuszony opuścić kotlinę, przesuwał się w obliczu moim na odległość 45 — 50 kroków po otwartym placu nieco ku północy, gdzie opodal miałby nową łożynę dla ukrycia się, lecz się spotkał ze stanowczym moim sprzeciwem co do tej łożyny. Konno mogłem lisowi rannemu stawić przeszkodę, zajeżdżając od lewej strony owych krzaków, które go tak nęciły w ostatnim momencie, jakim to ruchem naciskałem go ku wschodowi, ku rzece, po gładkim, wyżej wspomnianym, placu. Woda rzeki dla lisa ratunkiem nie będzie — lis nie ryba; koń prędzej przepłynie, niż lis... Oo! lądu do delty około 120 kroków — szerokość toni. Niema czasu na żadne zastanawianie się.

Wyprzedzając mnie o 50 kroków figura żółta widać zdecydowanie dąży do wody w celu przepłynięcia, nie zdając sobie sprawy, że prąd wody jest szczególnie silny ponad samą deltą, że wyczerpane siły lisa nie potrafią uratować go, przeciwstawić się prądowi, unoszącemu z lewa na prawo... „Toń wody tutaj dosyć szeroka... kończyła dolega... Trudno: nieprzyjaciele gonią... muszę“ — lisiura tuszy.

Otóż lis wpada do wody po płytkim brzegu. Żołnierze dwaj są tuż za mną. Piasek prześlągnięty wodą przedstawia trzęsawisko kilkanaście metrów szerokie koło brzegu rzeki: koń mój źle idzie... ale jakoś dostał się do wody i, zdaje się, łatwiej mu poszło.

Misza z lewej strony ode mnie w odległości 5 — 7 kroków rzuca się na rączy wschód niego typu drobnym rumaku do wody, za nim jeszcze bardziej na lewo Slesarenko na roślej-szej klaczy! Okoliczności wymagają orientacji i szybkiej decyzji. Zarządzam: „Dojeżdżać lisa tylko z jego lewego boku: prąd wody ma kierunek z lewa na prawo: paszcza lisa, przy ujęciu go za ogon zostanie odniesiona w prawo z prądem: lis nie tknie zębami piersi konia, — względnie kolan jeźdźcy“.

Zdążyłem to rozkazać i jeszcze posłałem w pogoń za lisem ostatnią kulę z Smidta i Wessona, lecz nie skutecznie: uderzyła o toń z prawej strony lisa. Lis płynie już kilkadziesiąt kroków o pogrążonej w wodzie kicie, która poprzednio była na powierzchni, oglądając się to w lewo to w prawo na ścigających.

Koń mój nieoczekiwanie dla mnie po przepłynięciu 30 — 40 kroków (nie opierając się o dno) odmawia mi posłuszeństwa, jak powiadają „staje dęba“... Do lisa mamy około 30 kroków... tempo jego zmniejszone. Konia mego ostrogami spiąłem i posunąłem się na przód: cóż staje nie w miejscu!...

Powtarzam główne rzeczy mego zarządzenia żołnierzom...



PIĘKNY DUBLET
(patrz „Kronikę myśliwską“)

fot. T. Zan jr.

(dokończenie na str. 2-ej)

Rozpoczęto na bażanty— skończono na lisy (początek na str. 1-ej)

Jesteśmy po środku szerokości koryta, przed nami silniejszy prąd wody...

Kon mój powtórnie odmawia nieść mię. — Podnosi przód ciała w górę i stęka... Zle... koń typu obozowego, z domieszką krwi limfatycznej (zachodniej) jama piersiowa szczupła, serca działalność skrzepowana, a szczególnie zawadza pas od siodła. Bez konia sam lepiej popłynę. Opuszczając się z siodła w stronę lewą — do wody, (w prawej ręce jeszcze mam rewolwer Smidta: nie zdążyłem go sprzątnąć do kieszeni lub za cholewę — tam też byłby ciężarem...) zwoleń konia, który został ku swemu zadowoleniu prądem odniesiony w prawo i... niedługo, zoczywszy zbierające się inne konie nie na cokolwiek opuszczonym brzegu, skierował się tam.

Ja zaś korzystając z prądu rzeki i mięśni własnych, zbliżam się do delty, odnoszony też w prawo prądem wody. Moja dłoń prawa mało czynna — rewolwer w dłoni zostaje, ubranie, buty przeszkadzają w płynięciu.

Rączy konik Miszy zbliża się do lisa — jest pewność, że jeszcze w wodzie dosięgnie zmalej rudej figury (mokra kita zanurzona).

We 2 — 3 sekundy potem w promieniu 5 — 6 kroków od stromego brzegu delty Misza uchwycił za kité lisa, w wodzie pograżonej... tuż koń jego opiera się o dno... już nie płynie. Jeśli jeszcze kilka kroków — lisura znalazł by się w opiece bogini Djany.

Widząc ujętego przez Miszę lisa za kité, wołam, aby czekał na pomoc, wydłużając swą rękę prawą, trzymając kité, celem oddalenia prądem pyska od konia.

To się rzekło — Slesarenko na swej klaczy u brzegu również dopiął lądu, i niebawem podążył tamtemu z pomocą. Dobiegł skośnym brzegiem delty do Miszy i stanął butem żołnierskim na głowę lisa, zanurzając ją do wody i piasku. Ja też, w chwilę potem wyławodawszy, dążyłem z humanitarnym zabiegiem — sztyltem fińskim przebiłem czołową kość... a lis ducha wyzionął...

Na tamtym zostawionym przeze mnie brzegu rzeki zebrani współzawodnicy z aplauzem salutowali i gratulowali mi sprawności łowieckiej.

Korzystając z pozostałych przy nas koni z łupem w rękach niebawem wróciliśmy z delty na brzeg, opuszczony przed 3 — 4 minutami. Młodzieńcza energia, brak rozważań czasami wieńczy poczynania dobrym wynikiem.

Ogłędziny zwłok lisa dały dowody takie:—

a) lewa przednia kończyna rozbita kulą cokolwiek poniżej stawu łokciowego, w poprzek obu kości zmiażdżona; mięśnie, skóra zniszczone;

b) rana stara, noga bezwładna. Lewa kończyna przeszkadzała w pracy przy przepływanu rzeki.

Stypa urządzona przez gospodarza polowania z bakłażanu miejscowego, cebuli, przypominającej maderę, oraz „Smirnówki“ bardzo smakowała po zasłużonej pracy.

Dr. Z. Mockus

W n o c w i o s e n n a

Błysnęły pierwsze słońca promienie. Biel śnieżna z wnętrza lasu szybko tając poczęła, a choć toń zdradną moczarów skuwał mróz nocny lodową powłoką, przez bór rozwinęły poszedł zew wiosny.

Nieuchwytny, nieznaczny, a jednak potężny, zwycięski.

Sięgnął lasu głębin tajemnych, wdarł się w zbitą gęstwę młodej świerczyny, otarł się o grube — wodą ociekłe — pniesosen, wzbili się w koron powałę i z wiatrem pognął w zawody.

Szła wiosna. Szybko budziło się życie.

W mrok nocy, w ciemną niebios powłokę, niczem przeraźliwa, niespodziana żołnierska pobudka, uderzył hejnał zórawi.

Ocknął się głuszc. Ze snu krótkiego wyrwany — z lubością rozprężył swe skrzydła, wyciągnął szyję. Wczoraj — wraz z promienistego słońca zachodem — poraz pierwszy zapadł na miejsce godowe. Z pierwszym tajemniczym wiosny podmuchem wionęła ku niemu tęsknota za czymś upojnym, a mocnym, co krew w nim burzy, serce nawałnicą opęta, co da mu siły poczucie, radość życia nieznana, chwilę szczęśliwą, moc odrodzenia i trwania przez wieki w dziełach jego królewskiej spuścizny.

I jak każde stworzenie, gdy wielki bezmiar szczęścia pierś mu przepełni, gdy wzbierze życia ochotą i wiosną tylko ma w duszy, w noc ciemną głuszc pieśń swoją rzucił.

Czy pytał — czy wzywał?

Któż to odgadnie. —

A może pieśń nocy wiosennej rodziła się sama. Może serca struny złote rozjękły i kastanietowym swym dźwiękiem w tę noc się rwały, jak żywioł, jak płomień wielkiego pragnienia.

Bywa z człowiekiem, iż duszą tajemny dreszcz wstrząsa, na usta najpiękniejsze słowa się tłoczą, blaskiem cudownym we wnętrzu rozbłysną, lecz jeśli je wyrzec, to gdzieś się zgubiły, zagasty i pozostały jedynie te pospolite, bezbarwne i puste.

Tak i z pieśnią głuszcową: z miłości — kochania zrodzona, owiana młodej wiosny westchnieniem, w zapamiętaniu bezbrzeżnem wylana, w przeczuciu budzącego się słońca poczęta — nie rozsypujących się pereł dźwięczy stukotem, lecz czymś drewnianem się zdaje, niepozornem i twardem.

Pierwsze trele pieśni głuszcowej łamały się w tonach. Drgał w nich wewnętrzny niepokój. Ptak pieśń swą

zrywał i czynił przerwy, jakby szukając właściwego wyrazu. Niczem muzyk, co w klawiaturę uderzy i bada, zali akordem należnym instrument oddźwięknie. A potem coraz częściej, śmieiej, a pewniej, aż pieśń runęła po pieśni i w puszczy spływać poczęła niemilkająca kaskada.

Znikła bojaźliwa niepewność, snąć rozgrzało się serce. Pieśń przechodziła w szal uniesienia, w burzę miłości, stawała się potężniejącym rapsodem, hymnem natchnionego śpiewaka na cześć żywota i lasu.

Świtało.

Kiedyś — opodał ozwało się głucho kwokanie głuszycy. Tempo pieśni głuszcowej jeszcze bardziej się wzmogło. Grały już teraz drzewa, grał bór, grało rozjaśnione blaskiem ranka powietrze.

Na wschodzie płonęło niebo, jakby zognione tym żarem serdecznym.

Światło dzienne z wierzchołków sączyło się w ciemną głęb boru; zarysy drzew stały się wyraziste i bliskie.

I w tę symfonię pieśni przedziwnej, rozbrzmiałej na tle budzącego się wiosny poranka, w cichość wielką przyrody, zaszuchanej w hymn pramiłości, w tajemnicę żywota leśnego ostępu — jedynie człowiek wnieść może zgrzyt przeraźliwy — złowrogi huk strzału.

Gruchnęło.

I wraz ciężko ziemia rozjękła. Załopotano coś w mroku na bagnie. Zadudniły kroki gwałtowne.

Trubadur nocy wiosennej z ukrytej się zerwał gałęzi, odleciał.

Nie widział, jak ranną śmiertelnie głuzyć, trzepoczącą się w drżącej agonii, kochankę jego pieśni natchnionej, chwyciły szpony okrutnego człowieka. Nie widział, jak ją — niby przez litość ludzkiego serca — kozikiem dorznięto.

Gdyby to widział, z boleści i smutku — pękłoby serce w nim ptasie.

R. Kinle.



Z LAT DAWNYCH

Budan w Deniskowiczach (siedzą: Hłasko, L. Borowski, O. Świda, H. Janiszewski i J. Borowski)

Do JWielmożnego Leopolda Kobylńskiego Prezydenta I naczelnego Wodza Myśliwych

RAPPORT*)

Co za bezdroż, zawieja. Decembra poczęcie —

Ledwom wrócił do domu luby Prezydencie.

W puszczy Tyzenhauowskiej, zbłądził mój woźnica

W noc ciemną stracił drogę, bez światła księżyca

Wioząc przez krzaki, hurby, po sumiotach, kępach

Wywrócił mnie nareszcie w odwiecznych ostępach —

Gniew mój nic nie poradził, ni lokaja modły;

Kazałem wyprządz konie, uwiązać u jodły. —

Szum w puszczy, mróz, zawieja, co za noc przekłęta!

Szkoda, że dziś na łowach niema Prezydenta.

Myślałem, on tu nieraz poluje na dziki,

Niedźwiedzie, spijał wino, stawiał łowczych w szyki —

Może przy tem wywrócie niedźwiedzia zastrzelił

Z radości z panem Hrabia węgierskim podchmielił.

Myśl moją przerwał Janek, strzelec jak znają żwawy

Panie, jak przenocuję, zbyt jestem ciekawy?

Natychmiast hubką skrzesał, rozpalil ognisko.

Cieszył się, że w płomieniach niedźwiedzia łóżysko —

Odegrzał polędwicę, dobył wódki flasze

Rzekł: Panie, co wypijem i zjemy, to nasze.

Lecz jutro jak najraniej, pójdziem za tym śladem.

Patrz Pan, stopy niedźwiedzia, choć przy świetle bładem

Poznałem, że dziś przeszedł, widzę to wyraźnie —

Idź precz, podaj mnie wódki, szynki, słyszysz błaznie

Mnie się jeść chce, nie paplać, zobaczymy jutro

Tym czasem dobądź z sanek i rozściel mnie futro —

Kielich wódki, kawałek polędwicy, chleba

Nasyciły dowolnie, snu jeszcze potrzeba —

Janek naładził sanki, czuwać przykazałem

Sam zaś futrem okryty mocno zadrzemałem.

Alboż to służa spełni dobrze rozkaz Pana

Ledwo księżyc zaświecił już nie było Jana —

Poszedł zwierza wytrapić, dostrzegłszy w nizinie

Jak dwa niedźwiedzie mruć w zawałach w gęstwinie

Wlaż na wywort, wdrapał się na drzewo jodłowe,

Struchlał ze strachu słysząc niedźwiedzi rozmowę —

Skoczył z jodły, umykał co tchu, biegł do sanek

Nim dopadł, już przesłiczny rozjaśniał poranek.

Przełknięty, spocony, krzyczy woła ludzi —

Porywa za rękawa i mnie ze snu budzi —

*) Po raz pierwszy ogłaszamy drukiem oryginalny „rapport“ wierszem, zachowując pisownię oryginału. Rękopis „rapportu“ stanowi własność p. Kazimierza Dzierdziejewskiego z maj. Deniskowicz. Wiersz napisany do pradziada właściciela rękopisu p. Leopolda Kobylńskiego, właściciela dóbr Gosławszczyzna i Cieszewa w Nowogródzkim, wielkiego myśliwego owych czasów. Autor wiersza — Moniuszko był właścicielem majątku Pacynjany w Nowogródzkim. Wspomniany w wierszu Chorąży — to Stanisław Kobylński, rodzony brat Leopolda „Wodza Myśliwych“. (Red.)



O kilometr od granicy sowieckiej

fot. Jan Borowski

Czy polowanie jest luksusem?

Jak donosiliśmy już w „Trąbkach“, zawiązała się w Wilnie na USB organizacja myśliwych studentów p.n. „Akademicki Związek Łowiecki“. Starsze społeczeństwo myśliwskie powitało powstanie tej organizacji z żywą i szczerą radością. Obecnie, ze względu na pewne trudności, jakie napotyka A.Z.Ł. w początkach swej działalności organizacyjnej, Zarząd Towarzystwa Łowieckiego Ziemi Wschodnich wydał temu Związkowi następujące „zaświadczenie“:

Na prośbę W Panów stwierdzamy, co następuje:

1. Łowiectwo, jako całokształt, jest ważną gałęzią gospodarstwa krajowego, stanowiącą w Europie Zachodniej oraz w zachodnich dzielnicach Polski zupełnie poważną rubrykę dochodową. Z tego też względu łowiectwo, które na Ziemiach Wschodnich jest, jako gałąź gospodarstwa, dotąd jeszcze w powijkach, tembardziej zasługuje na najdalej idące poparcie ze strony czynników państwowych;

2. Polowanie, będące częścią łowiectwa, jest wielce godziwym zajęciem ludzkim, wnoszącym w życie ludzi — a zwłaszcza młodzieży — tyle dodatnich walorów wychowawczych, jako to: tężyznę fizyczną, rozwinięcie zmysłu obserwacji etc., że pod względem wartości społecznej, powinno być postawione co najmniej na równi ze sportem. Przewyższa ono, zdaniem naszym, sport z tego względu, że — odbywając się na łonie natury, często pierwotnej, jest znakomitą formą studjowania przyrody żywej.

W każdym razie, zwłaszcza w obecnych czasach wybitnej demokratyzacji wszelkich dziedzin życia, pogląd na polowanie i łowiectwo, jako na zbytek, utrzymać się nie da i jest szczególnie w zestawieniu ze zdobywczymi wiedzą łowiecką lat ostatnich — jaskrawym i szkodliwym przeżytkiem.

Powyższe stwierdzenie wydajemy W. Panom w celu przedstawienia Władzom Skarbowym.

Jeszcze jeden głos pochlebny O JENODNIÓWCE

W poprzednim (Noworocznym) numerze „Trąbek“ streściliśmy szereg głosów prasy polskiej o naszej książce pamiątkowej łowiectwa wschodniego p.t. „Myślistwo Wschodnie“. Dziś w dalszym ciągu notujemy wzmiankę w „Echach leśnych“ (Nr. 42 z dnia 15-XII 1935 r.) pióra świetnego pisarza myśliwskiego hr. Adama Rzewuskiego.

„Zaiste — pisze hr. Rzewuski — chlubi nie zasłużyło się Tow. Łowieckie Ziemi Wschodnich, wydając pierwszą swą książkę pamiątkową w dniu Św. Huberta. Wyczyn to nielada, bo i szata zewnętrzna estetyką całokształtu odpowiada najwybredniejszemu wymogom, bogata zaś treść literacko-fachowa — tembardziej.“

Omawiając dalej szczegółowo treść „Myślistwa Wschodniego“ Autor wzmianki zaznacza, że — „ponad wszystkim bije z tych miłych szpalt, oprócz wiedzy fachowej, ogrom sentymentu i przywiązania do tej ziemi naszej świętej“...

„Książka pamiątkowa powinna się znaleźć na stole każdego człowieka lasu“ — kończy swą recenzję hr. Rzewuski.

—:—:—

MYŚLIWY „DZIKI“, T.J. NIENALEŻĄCY DO IDEOWEJ ORGANIZACJI ŁOWIECKIEJ, SAM SOBIE WYSTAWIA ŚWIADECTWO UBÓSTWA ETYKI MYŚLIWSKIEJ

Sprawozdanie delegackie z Dziśniejszczyzny

Komunikuję o ilości zabitych zajęcy od 2 listopada 35 r. do 1-I 1936 r. w gm. Hrubiekiej i o stanie zwierzyny łownej w tej gminie. Naddziwińskie Towarzystwo Łowieckie (filja Podświle) w dziewięciu myśliwych zabiło 100 zajęcy szaraków, polując z naganką. Ostrowiańska S. Myśliwska, polując z gończeni w pięciu myśliwych, zabiła 31 zajęcy, w tem dwa bielaki. Stan zajęcy zupełnie jest dobry i szaraków więcej, bielaków trochę mniej; kuropatw na jesieni było wiele i obecnie jest ich dużo; zima jest bez mrozu, śniegu mało, co sprzyja rozmnożeniu się kuropatw. Cietrzewi mało, głuszców dużo. Pardw niema; jak widać, będziemy tylko wspominać, że były pardwy. Sarn jest więcej, niż w 1934 r. Lisów jest dużo, wilków mało i tylko przejściowe.

W Towarzystwie Ł. F. Podświle jest dwóch myśliwych, którzy polują na zajace z objazdu, czego prawo łowieckie nie zabrania. Polując w ten sposób można wytepić zajace. Towarzystwo śledzi wprawdzie, lecz trudno złapać tych panów. Proszę Zarząd T.Ł.Z.W. interwenjować u Pana Wojewody, by wydał zarządzenie, zabraniające polowania na zajace z objazdu i na cietrzewie z podjazdu. Zaznaczam, że takich myśliwych może znaleźć się więcej, co doprowadzi do wyniszczenia zajęcy i cietrzewi. Jednocześnie uprzejmie proszę podać do wiadomości „Trąbek“, że tacy myśliwi, którzy polują z objazdu na zajace, nie postępują zgodnie z

etyką myśliwską lecz polują jedynie dla kawałka mięsa i zarobku. Jeśli resztą sam p. Delegat poluje na obiekcie terenowym 1000 ha niezarejestrowanym i pozwala polować innym myśliwym, czy jest taki p. Delegat odpowiedni na swym stanowisku i czy zna dobrze prawo łowieckie a mianowicie art. 76, punkt 2-gi ...

Co do polowania na wilki w gm. Dokszyckiej, powiatu Dziśnieńskiego 1935 r. to odbyło się ono w następujący sposób *). Pan starosta zarządził polowanie na wilki w lesie państwowym wskutek prośby tamtejszej ludności. Polowano przy granicy sowieckiej; wilków było 12; zanim zaciągnięto fladry, 4 wilki wyszły, osiem pozostało. Myśliwych z Głębokiego przyjechało 25, i miejscowych było pięciu myśliwych. Muszę zaznaczyć, że prawdziwych myśliwych z Głębokiego było trzech. Pozostali „myśliwi“ bez pudła robili w powietrzu dziury. Wymieniać ich nie będę... Dość, że dużo strzelali, a w rezultacie jednego wilka zabili, a siedem wilków poszło zdrowych. Nieprawdą jest, że pięć wilków poszło na jednej łapie, lecz prawdą jest, że koło jednego pana przeszły dwa wilki, a pan ten zapomniał, że w ręku ma broń i począł odmawiać pacierze za dusze zmarłych.

B. Sulima Samujłło
Delegat P. Z. S. Ł.

*) Patrz „Trąbki“ Nr. 7/72, rubryka „Piórka z kaczego ogona“ (Przyp. Red.).



ŁABĘDŹ DZIKI

ubity na jeziorze koło Korwi przez p. J. Strumiłkę w r. 1935

Panie! dwóch na me oczy niedźwiedzi widziałem
Ztąd blisko, niedaleko, ja strzelić nie śmiałem
Bo jak ludzie, niedźwiedzi z sobą rozmawiają
Drwią z Pana, z Prezydenta, wszystkich wyśmiewają —

Myślałem, że oszalał, plecie nie dorzeczy. —
— Jeśli mówię nieprawdę, niech mnie Pan znieweczy,
Sworami, batem skarże, lub powiesić karze
Przysięgam, nic nie kłamię — obu się pokaże
Niech Pan idzie mym śladem ja zaraz za furmanem
Zaprężemy do sanek, pobiegnę za Panem —
Trudno nie być ciekawym po takiej przysiędze,
Jeśli kłamiesz, dam w skórę i będziesz w siermiedze —

Poszedłem. Jan prowadził i nigdzie nie zmylił
Szedł śladem, minął kępe, raptem się pochylił,
Włożył cichutko na wywrót, szepcze mi do ucha
Wskazując jodłę przysiadł, niech Pan dobrze słucha. —

O zgrozo! com ja widział! przebóg co słyszałem!
Sam sobie, uszom własnym wierzyć już nie chciałem!

Wyobraź Prezydencie, niedźwiedzica wdowa
Biła syna, że śmiał wyjść z Laski z Rzepichowa
„Nieraz tobie mówiłem strzeż się Prezydenta.
To wódz myśliwych — nawet wilki łapie w penta.

Strzela bez pudła, zabił mego ojca, męża —
Niedźwiedzie się go boją, jako ludzie węża —
Ja sama skaleczona, dziś o jednym oku,
Od lat kilku Prezesa kulę noszę w boku“

Czuły synek niedźwiadek mówić prosi Mamy:

„Nie tak Prezydent straszny, dziś go lepiej znamy —
W roku zeszłym chodziłem widzieć w Rzepichowie
Stryja mego staruszka — znalazłem go w rowie.
Cieszyliśmy się razem jedliśmy jagody.
W tym Stryi postyszał trombkę, gdyśmy szli do wody —
Niedźwiadku! wleź na sosnę krzyknął groźnie w złości —
Ja ich nauczę — wszystkim pogruchotać kości —

Włożyłem na drzewo, głos tromb, gon psów, wszystkim słyszał —
Ztuliłem się z obawy, brak tchu, ledwom zdyszał —

Widziałem Prezydenta jak krzyczał na ludzi
Wypił kielich wiszniówki, mówiąc, że coś nudzi —
Stał przy pniju, tuż przy nim leżał wywrót gruby,
Wkrótce strzelił do stryja — nie czekając zguby,
Na pień płaszczyk zarzucił, a sam jak długi, pod kłodę,
Stryj mój patrzył przez chwilę, strząsnął siwą brodą —

— Wodzu! za Twą pokorę, daruję Ci życie,
Będiesz wiedział jak karzę zuchwałców w habicie —

Ksiądz o podał wystrzelił, sam w nogi do jodły
Stryj księdza za czub, zdarł, zgryzł, niepomógł modły —
Rozszedł się jęk, strach, wrzawa; by śmierci nie czekać
Wódz, adjutant, strzelcy poczęli uciekać.

Niedługo zcichło, złażę z sosny — lis mnie mija.
Braciszku, co słyszał — nie widziałeś Stryja?
— Dogorywa widziałem, pragnął widzieć Ciebie. —
Szukałem nieznalazłem, być już musi w niebie.

PTAKI ZIEM POLSKICH

Pod powyższym tytułem, nakładem Ligi Ochrony Przyrody w Polsce, z zasięgu Funduszu Kultury Narodowej, wydane zostaje bogato ilustrowane dzieło Dr. Jana Bogumiła Sokołowskiego. Dzieło to ukazuje się zeszytami, których wyszło już osiem. Tom pierwszy ma ich zawierać 10, tom drugi prawdopodobnie znacznie więcej.

Niemna chyba prawidłowego myśliwego, nawet nie interesującego się innymi działami przyrody, którego nie zaciekawiałyby ptaki i który mimowolnie, bezwiednie prawie, nie darzyłby ich pewną dozą szczerzej sympatii. Bo czyż wiele posiadamy rodzajów łowów, dorównujących swym przedziwnym czarom polowaniu na tokach głuchołowych, lub romantycznemu ciągowi słonek, czy wreszcie roziskrzonym pożogą słonecznego złota i brylantowych ognii wódłowym z krykuchą? Ale nie mówmy już o ptakach łownych. Cała ta masa drobnych leśnych śpiewaków, ta ptasia kapela, grająca nam w kniei o każdej porze dnia i roku, niemniej jest miła naszemu sercu od tamtych pierzastych okazów, starowiących obiekty polowań.

Bo czyż urok ciągu słonek polega właśnie na nikłym chrapaniu tego długodzioba? O, nie! Poza przebogatą skalą barw zachodzącego słońca, retuszującego cudowny koloryt wiosennej kniei, poza subtelną grą mgieł i niebieskich welonów zmroku — romantyzm takiego wieczoru rodzi się z nieprzeliczonych chórów pieśniarzy leśnych i skrzydlatych solistów. To świergot setek żeb, szczygłów, gajówek i świergotków usposabia nas do marzeń, podbija swą szczerą, rzewną prostotą. A kiedy na czubku nagiej jeszcze brzożki usadowi się szaropióry truhadur zagajów — drożdź śpiewak i zanuci swą wirtuozowską pieśń wiosny, do której jako zgodny wtór dołącza się, płynąc z bukieci olśnyszyny trele kosa — jesteśmy całkowicie oczarowani nastrojem, choć może niezupełnie zdajemy sobie sprawę z tego, że zawdzięczamy go właśnie tym drobnym, często nieznanym mi nawet ptaszętom.

Autor „Ptaków Ziemi Polskiej” przesuwając przed naszym wzrokiem sylwetki tych śpiewaków mniej, lub więcej znanych, a mówi o nich tak zajmująco, tak barwnie, że każdy przeczytany szczegół od razu pozostaje w naszej pamięci.

Dzieło Sokołowskiego nie prawi nam oklepanych frazesów o pożyteczności ptaków, o znaczeniu ich dla rolnictwa, mówi tylko jasno, zwięźle i popularnie o ich życiu, wyglądzie, obyczajach. Autor, jeden z najwybitniejszych polskich ornitologów, kocha i zna ptaki, a czytelnik, przebiegając wzrokiem duże, estetycznie wytoczone stronicie — czuje, że został już zasugerowany,

że interesuje go śpiew brzożki, gniazdo remiza, czy różnice upierzenia obu słowików.

Ze słów D-ra Sokołowskiego bije, promieniuje gorące umiłowanie tematu — to też tekst czyta się łatwo i chętnie, jak ciekawą powieść, a nie jak poważną książkę naukową, o której mówi się prawie zawsze, że nudna i sucha. Takie np. rozdziały jak: ochrona ptaków, wędrowni ptaków, pochłania się jednym tchem — bo dziś interesuje to już prawie wszystkich, a przedewszystkiem myśliwych i przyrodników. Oni też w pierwszym rzędzie z „Ptakami Ziemi Polskiej” zapoznać się powinni.

O dziele D-ra Sokołowskiego nie wystarczy powiedzieć, że jest dobre, bo jest doskonałe i piękne. Księgarnia wydawnicza Św. Wojciecha w Poznaniu ze zrozumiałą pieczołowitością potraktowała to wydawnictwo, w którym wszystko jest bez zarzutu: czcionki, papier i klisze. Tekst od chwili wyczerpania „Ptaków krajowych” Taczanowskiego nie miał sobie równych i prędko chyba mieć nie będzie. Czekaliśmy na podobną pracę długo, jakieś 30 lat, dziś jednak ta laska polskiego piśmiennictwa naukowego została wypełniona znakomicie. To też winniśmy głęboką wdzięczność wielkopolskiemu Autorowi za jego cenną i ozdobną pracę.

Pisząc o książce D-ra Sokołowskiego należy też wspomnieć o licznych ilustracjach,

zdobiących dzieło. Pierwszeństwo oczywiście trzeba oddać tablicom, zawierającym fotografie z natury. Niektóre zdjęcia są wprost świetne. Barwne tablice przesuwają jak w kalejdoskopie wizerunki najbarwniejszych naszych ptaków. W samym zaś tekście znajduje się wiele rysunków piórkowych Autora. Choć i fotografie i tablice barwne są także dziełem D-ra Sokołowskiego, to jednak o ilustracjach piórkowych chcę wspomnieć najdłużej, bo są one wprost doskonałe. Przy pomocy czarnej kreski odtworzone są wszystkie, najdrobniejsze nawet szczegóły upierzenia ptaka i charakterystyczne cechy otoczenia. Autor jest także utalentowanym rysownikiem i malarzem, potrafi więc artystycznie oddać żywy obraz każdego skrzydlatego bohatera. Taki np. rysunek raniuszka na str. 249 niema sobie równego w całej polskiej literaturze naukowej.

Raz jeszcze gorąco polecam wszystkim interesującym się ptakami dzieło D-ra Sokołowskiego. Dobrze się zasłużyła społeczeństwu Liga Ochrony Przyrody w Polsce (Warszawa, Nowy Świat, 2 m. 2) wydając taką książkę. Wydawnictwo to jest bowiem najlepszą propagandą idei ochrony przyrody.

Zainteresowanym komunikuję, że prenumeratę dzieła skutecznie należy w 4-ch ratach po zł. 4,50, lub po 2 zł. miesięcznie. Konto P.K.O. 17,410

Leopold Pac-Pomarnacki.



IDYLLA ZIMOWA

fol. Tomasz Zan.

Nadesłane wydawnictwa

Mieczysław Miniszek Tchórzński. Walka. Warszawa 1935. Str. 12. Odbitka z „Łowca Polskiego”.

Józef Władysław Kobylański: Władysław Gürtler. Srebrne gody pracy łowieckiej. Warszawa, 1935. Str. 8. z 1 fot. Odbitka j. w.

Tegoż autora Epizody myśliwskie w życiu Marszałka Piłsudskiego. Warszawa 1935, str. 46 z 7 fotografiami.

W treściwym i żywo napisanym szkicu, znanym już czytelnikom „Łowca Polskiego”, autor ujął nie tylko epizody z życia myśliwskiego Marszałka (na Syberji), nie tylko wyjaśnił źródło i definitywnie pochodzenie znanej fotografii Marszałka w stroju myśliwskim, lecz również zaliczył do „epizodów” zwroty myśliwskie w Jego pismach, przedmioty mające związek z łowiectwem i światem zwierzęcym, znajdujące się w Belwederze, Sulejówku, Pikieliszkach... Słowem, nowa broszura kpt. Kobylańskiego, jak zresztą wszystko, co wychodzi z pod pióra tego pisarza, napisana jest sumiennie i treściwie. Stanowić będzie ona nie tylko pożyteczny dorobek piśmiennictwa łowieckiego, lecz również cenny materiał do biografii Marszałka.

Podczas dorocznych polowań w Łukawcu p. Jana Borowskiego w okresie Świąt B. N. ubito polując w 3—6 strzelb: 3 wilki, 6 lisów, 50 zajęcy, 5 jarząbków i 1 bażanta. Do rysi, chociaż były, nie strzelano w tym roku, jak również do kozłów. Stan sarn znacznie się poprawił i obecnie można go określić w rewirach Łukawieckich na kilkadziesiąt sztuk.

Z TOW. ŁOWIECKIEGO ZIEM WSCHODNICH

Podajemy ważniejsze uchwały Zarządu Towarzystwa Łow. Z. W. z ostatnich 2-ch posiedzeń:

1. Zwołać zwyczajne doroczne Walne Zebranie Tow. na dzień 29 marca r. b. o godz. 18.

2. W myśl polecenia Wydziału Wykonawczego P. Z. S. Ł. zwołać do Wilna Zjazd Delegatów Łowieckich z obszaru woj. wileńskiego i nowogródzkiego na dzień 29 marca r. b. o godz. 12-ej.

3. Przyznać posterunkowemu P. P. z post. w Hołubicach p. Piotrowi Huniewiczowi nagrodę zł. 15 za skuteczną walkę z przestępcami łowieckimi (wniosek delegata p. Sulima Samujły).

KRONIKA MYŚLIWSKA

Drugiego dnia ubito 2 jarząbki, 1 bielaka i 40 szaraków.

Na dwudniowym polowaniu dnia 14 i 15 grudnia ub. r. w Paulinowie p. Brunona Bochwica ubito: pierwszego dnia w 12 strzelb 45 zajęcy - szaraków i 1 lisa; drugiego dnia w 7 strzelb — 1 dzika (wagi 106 kg.) oraz 2 zajęce. Dzika ubił p. Wanda Górka.

Pan Tomasz Zan jr. z Duksty ubił w bież. sezonie trzy wilki, z których dwa — dubletem (patrz fotografię).

Dnia 8 i 9 stycznia r. b. polowano w 15 strzelb w Jaszunach pp. Aleksandrowa Sołtanów. — Oba dni pogoda nie sprzyjała (odwilż, deszcz, brak śniegu), co — przy opolowywaniu miotów wyłącznie leśnych — było przyczyną znacznie gorszych, niż w roku ubiegłym, wyników polowania, jakkolwiek zwierzęta w Jaszunach należy uważać za b. dobre.

Pierwszego dnia ubito 1 wilka, 1 lisa i 36 szaraków. Wilka ubił p. Kazimierz Strumiło z Litwy Kowieńskiej.

Ile ja też wylałem pewno nie przeliczę.
Ze zmartwienia po Stryju, poszedłem w Łotwicze —
Bóg mnie pocieszył, żyzne znalazłem schronienie
Czasem wychodzę z Laski, gdy czuję zmartwienie
Tam mam pełno pociechy, jak straż strzelców święta
Zawiadania o moich śladach Prezydenta —
Często do kniej zwanej — Pacynian szkaplerze
Przebiegam z Lasków, mówić za Stryja pacierze —

Tygodni temu kilka, wypadł śnieg potężny
Zoczyli mój ślad — wyszedł polować Wódz męzny —
Zgromadził ludzi, sprost Adjutantów gości —
Znam się, wszyscy pudlarze, śmiałem się z radości;

Wódz po dobrym śniadaniu z Chorążym i synem
Przybyli do Szkaplerza — traktowali winem
Gości, Adjutantów — Strzelcy pili wódkę,
Nareszcie osoczyli — Wódz zatrombił w dudkę —

Ustawił na mym tropie śmiałych strzelców pięciu
Sam schurzył, wybiegł w pole — po Jego zaczęciu
Widać było, że szukał pnia, sosny lub klody —
Nie znalazł nic takiego do swojej urody
Za ślusarzem, na szczęście, obrał stanowisko —
Wyszedłem widzieć Wodza, strzelił bardzo blisko.
Spudłował jak zwyczajnie — ślusarz także chybił
Lecz Prezydent jako Wódz porządnie go wybił.

Przez ciekawość wróciłem, biegnąc ciągle lasem,
Spostrzegłem zdala, jak syn Wodza z kordelasem

W broń podwójną opatrzon, zdala do mnie mierzyl
Gdy się zbliżył, wystrzelił, i w brzozę uderzył —

Za nim chorąży z służą, wypalili oba,
Pościnali gałęzie, co za szczęśna doba! —

Wysuwam się na drogę — Kapitan w lisiurze
Strzelił dwa razy, lekko ranił mnie po skurze.
Pierwszy raz go widziałem, serce mi zadrżało —
Lecz i ten Wódz Jego nie uderza śmiało.
Pokali jeszcze strzelcy, ciągle były pudła,
Wyszedłem cały z kniej napić się do źródła. —

Teraz przychodzę zabrać Ciebie Mamo droga —
Śmiało żyć możemy w Laskach, będziemy chwalić Boga.
W Szkaplerzu — jeśli kiedy Wódz zechce polować
Cóż nam zaszkodzi słyszeć — jak będą pudłować. —

Uśluhała
— „Idę z tobą na zimę w Prezydenta Laski”. —
Ciepłowości już brakło — mierzę — chciałem strzelać —
W tym Janek trącił — Panie — naczó ich rozdzielać
Niech oba idą w Laski, tam ich pokonamy
Wódz nieprzebaczy, gdy Mu o wszystkim znać damy. —
— Rzec słuszną pomyślałem — dobrze mówi Janek.
Wróciliśmy czem prędzej, siedliśmy do sanek.

Dziś z powrotem do domu, biorę pióro siadam.
Piszę, rzetelny Rapport, w ręce Wodza składam.

Montusko.

Pacyniany, 1839 r. Xbra 5 dnia.